Zeszyt 18. Rok I.



Lwów 30. Maja 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3.70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

(C. d.) Że walka taka w piersi jego odbywać się musiała, świadczyło drganie rysów twarzy, świadczyło podnoszenie się piersi, świadczyły zmienne błyski ócz, patrzących na córkę, świadczyła łza, która się stoczyła po policzkach i upadła na czoło Marji.

Ta łza wróciła jej panowanie nad sobą.

— Czemuż płaczesz, ojcaszku? — przemówiła rzewnie. — Tyś się cieszyć powinien.

— Ty ani pojmujesz dziecko, jaki ze mnie zły ojciec — odpowiedział Bzowski ścierając z twarzy łzy.

— Co też mówisz ojcaszku! Jak można tak się oczerniać! Ja taka szczęśliwa, że cała sprawa w cichości się zakończy i nikt się nie domyśli co nam groziło. No, wesoło ojcaszku — prosiła — uśmiechnij się, bo będę się gniewać... Odchodzę, aby zadysponować obiad... a ty ojcaszku rozmów się tymczasem z panem Bożyckim.

Jeszcze raz ucałowała twarz ojca i wybiegła, pozornie wesoła, z jego pokoju. Gdy drzwi za nią zapadły, Bzowski rzucił się na łóżko i ukrył twarz w poduszki. Chciał stłumić łkanie, które się wydzierało z jego piersi, chciał przed sobą zataić wewnętrzny głos sumienia, który krzyczał całą siłą, że popełniał występek.

O tym samym czasie w pokoju gościnnym ubierał się Bożycki. Wstał dopiero przed chwilą, a to z powodu odebrania depeszy, którą mu przyniósł służący. Po odczytaniu tejże zerwał się na równe nogi i gorączkowo wkładał na siebie ubranie. Twarz jego dotąd nie odświeżona kosmetykami, w naturalnej swej postaci była prawie ohydną. Żółta, pergaminowa, pomarszczona w tysiące fałdów. Oczy leżały w dołach siną obwódką okolonych: na łysej głowie plątały się gdzieniegdzie cienkie kosmyki siwych włosów; usta bezzębne zapadłe były a wargi bezbarwne; ręce trzęsły się ze starości czy wyżycia. Był to typ starca, którego życiem rządziły namiętności; który nie miał w sobie ani odrobiny tego cichego majestatu, jaki daje starcom życie spędzone zacnie i spokojnie.

Ubierał się i pięknił z jakąś gorączkową szybkością, mniej jak zwykle dbając o wykończenie toalety. Spieszył się widocznie, a co chwila zwracał oczy na leżącą przed nim depeszę. W czasie ubierania mówił do siebie półgłosem, klął, wściekał się, wyrzucał niezrozumiałe słowa.

— Wczoraj 30,000 straty... dziś 30,000... Bodaj to wszystkie pioruny!... Panika musi być chwilowa... Ten osioł bankier pyta się, czy sprzedawać.... Gałgan jakiś!... Muszę pokryć różnicę!... Nic nie pomoże.. Inaczej zamiast 30,000, stracę dwakroć... To mi się wiedzie!...

Włożył w usta sztuczne zęby i przejrzał się w żwierciadle. Od tej chwili mówił wyraźniej:

— W Warszawie już nie mam kredytu... Wiedzą że gram... Głupcy!... Co oni wiedzą? Szkoda żem się z Bzowskim nie uwinął wcześniej... Ale któż mógł przewidzieć?... Przeklęta sytuacja!...

Wsadził na głowę perukę i przyczesał ją...

— A pieniądze mieć muszę natychmiast... inaczej jestem bankrutem... Zkąd tu wyrwać? zkąd wyrwać?

Chodził po pokoju roztargniony, zirytowany..... Zapinał surdut i przeglądał się w źwierciadle, aby sprawdzić, czy wszystkie upiększenia jego postaci są dokonane.

— Czybym od Henryka nie dostał? — zawołał nagle, stając. — Wyborna myśl! Mnie przecież nie odmówi!...

Schował ogromny pugilares do kieszeni, nasadził na głowę kapelusz, pozamykał wszystkie szuflady i wyszedł. Zmierzał prosto do pokoju Bzowskiego. Zastał p. Onufrego przy biurku, zapisującego coś do notatki.

Bożycki miał w tej chwili minę tak słodką i uśmiechniętą, że podziwiać można było jego komedjanckie zdolności. Niktby w nim nie dopatrzył tego gniewnego, zirytowanego przed chwilą starca bez zębów i peruki, takim wesołym śmiechem odpowiedział na wykrzyk pana Onufrego, który się dziwił, że Bożycki wstał tak rano.

— A widzisz, widzisz Onufry, co to może miłość! I sen, i wygody, i lenistwo, wszystko pierzchło pod ożywczem promieniem tego uczucia. Jestem jak nowo narodzone dziecko... Nie wierzysz?

— Ale wierzę!...

— Czyś już mówił z córką? — zapytał bez ogródki Bożycki.

— Mówiłem.

— A ona?

— Zgadza się — wykrztusił Bzowski.

— Doprawdy? Ależ to szczęście, niespodziewane szczęście. Ja się w czepku rodzić musiałem. O czem zamarzę, staje się rzeczywistością.... Niech cię uściskam, Onufry.... Jabym dziś cały świat chciał uściskać.... — I całował i ślinił przyjaciela, który jakoś obojętnie przyjmował te oznaki zadowolenia.

Ze stanu rozczulenia przeszedł Bożycki prędko w stan spokoju i rozwagi.

— Bliższe warunki, termin ślubu etc. etc... będziemy mieli czas omówić dziś wieczór lub jutro, teraz Onufry, bądź łaskaw kazać założyć konie do powozu. Mam pewien interes do załatwienia w sąsiedztwie.

Bzowski zadzwonił i dał służącemu rozkaz, aby konie dla pana Bożyckiego były natychmiast gotowe.

— Ale wrócisz na obiad? — zapytał gospodarz domu.

— Naturalnie że wrócę. Wszak Leśna nie tak daleko....

— Jedziesz więc do tego Niemca? — zapytał Bzowski zgorszony.

— Do jakiego Niemca? — zdziwił się Bożycki.

— No... do Bodmera... — rzekł Bzowski.

Bożycki zaśmiał się.

— Mój kochany, wyperswaduj sobie z głowy tę niemczyznę. Bodmer taki Niemiec jak ty i ja...

— Znasz go więc bliżej? — zapytał Bzowski z ogromnem zdziwieniem.

Bożycki dziwnie się uśmiechnął, a nachyliwszy się ku Onufremu, szepnął mu poufnie:

— O ile ojciec może znać swego syna!...

Bzowski aż się podniósł z krzesła. Uszom swoim wierzyć nie chciał.

— W Imię Ojca!—krzyknął—co ty pleciesz?!...

— Najszczerszą prawdę — zapewnił Bożycki, a widząc że Onufry wciąż patrzy na niego osłupiałym wzrokiem, dodał cicho, oglądając się wokoło:

— Ot, dawny kawalerski grzeszek, o którym mało kto wie. Chłopak jak malowanie, a sprytem przeszedł swojego papę... Ale ja tu gadu, gadu, a czas ucieka. Do widzenia Onufry!...

I Bożycki opuścił pokój i powóz z przed werandy odjechał i dobra chwila czasu minęła a Bzowski jeszcze stał nieruchomy, z wzrokiem utkwionym w drzwi i możnaby zaręczyć, że jednej wykończonej myśli nie było w jego mózgu, taki tam stan chaotyczny panował. Jak przez mgłę dostrzegał tylko nienawistnego Bodmera, ironicznie uśmiechniętego Bożyckiego, zapłakaną córkę i siebie samego bladego jak potępieniec. Widział Bzów, Leśnę, widział familijną uroczystość jakąś, do której zasiadał ze swym wrogiem Bodmerem, jako krewnym swego zięcia; potem widział szeregi Niemców, depcących po jego piersi...., wreszcie nic nie widział tylko błyski żółte przed oczami, które migotały, kręciły się koło niego jak frygi, pierś mu tłoczyły, kłuły, zwiększały się w bezmiar, to znów malały mikroskopijnie, aż zupełna ciemność go otoczyła wokoło, że ręce wyciągnął przed siebie, jakby chciał dotknięciem przekonać się, co się z nim dzieje. Ale nie postąpił już kroku i padł nieprzytomny na posadzkę...

VII.

Po swej pracowni wolnym krokiem przechadzał się Bodmer. Z terasy otwartemi oknami zalatywała woń kwiatów, które przed chwilą ciepły deszczyk odświeżył i orzeźwił.

Bodmer był w dobrym humorze, bo między brwiami zniknął fałd, który u niego zdradzał zawsze chmurność myśli.

Miał się z czego cieszyć. Najpierw rano oznajmił mu chemik zakładowy, że galman jaki mu Bodmer dał do rozbioru, należy do najobfitszych rud cynkonośnych; następnie naczelny inżynier zaraportował mu, że poszukiwania na Pellarówce idą raźno, że pokłady galmanu na jakie natrafiono są bogate i należy bez namysłu podać o pozwolenie założenia prawidłowej kopalni.

W skutek tych dwóch wiadomości Bodmer zawezwał do siebie buchaltera i przewertował z nim księgę główną. Okazało się, że wielkie pożyczki zaciągane różnemi czasy u instytucyj kredytowych na rozszerzanie zakładów były już spłacone, że na majątku

jego ciąży tylko jedna suma 70,000 rubli, którą jednak pokrywają zapasy towaru i żądania do stron trzecich, za towar już odstawiony, słowem przekonał się, że jest właścicielem zakładów reprezentujących wartość półtora miljona rubli, że ma otwarty szeroki kredyt w kraju i za granicą, słowem że interesa jego stoją świetnie.

Przeświadczenie o tem skłoniło Bodmera, że na dłużej trwającej konferencji, w której wziął udział dyrektor, administrator i inżynierowie, postanowiono otworzyć w Bzowie kopalnię galmanu i hutę cynku. Bodmer polecił swym urzędnikom, aby wszystkie kroki potrzebne do wprowadzenia w życie tego przedsiębiorstwa uskutecznili bez odwłoki, gdyż życzy sobie, aby jak najprędzej zadymiły kominy fabryczne na horyzoncie Bzowa.

— Im wcześniej stanie zakład przemysłowy w Bzowie — przemówił do urzędników — tem prędzej spełni się moje życzenie połączenia Leśnej z Ząbkowcami koleją żelazną...

Konferencja skończyła się przed chwilą. Teraz Bodmer używał siesty, cieszył się rezultatami.

Nie mógł on jednak spacerować bezmyślnie. W naturze jego nie leżała bezczynność, on zawsze kombinował naprzód, ogarniał cały obszar swych obowiązków i zajęć. Przebiegał myślą przeszłość i zastanawiał się nad tem, z jak małemi stosunkowo środkami zaczynał swoje przedsiębiorstwo, jak mozolnie walczyć musiał o każde powodzenie, o każdy krok na lepsze, jak pod ożywczem tchnieniem jego woli, budziło się życie w Leśnej, jak wzrastała ludność, zamożność, jak małe początkowo zakłady stawały się kolosami, zatrudniającemi tysiące rąk codziennie. Dziś dawał utrzymanie tysiącom rodzin, zatrudniał kilkudziesięciu ludzi z wyższem akademickiem wykształceniem fachowem; od biurka swego kierował maszyną tak skomplikowaną. Od jego osobistego powodzenia zależał byt setek i tysięcy. Czuł to, mógł być dumnym z siebie, a jednak dumy tej nie widać było ani w jego ruchach, ani w wyrazie jego twarzy.

Tu nie koniec jego dążeń. On jeszcze Bzów ożywi. Nowa kopalnia, nowy zakład rozniosą dobrobyt dalej. Już teraz myślał o przyszłości, myślał jaką nazwę da kopalni galmanu. Kopalnia węgla nosiła nazwę „Naprzód“, kopalnia rudy żelaznej nazywała się „Postęp“, huta miała nazwisko „Anny“ na pamiątkę matki; przyszłą kopalnię chrzcił w myśli swojem nazwiskiem. Tak, miała nosić nazwę „Bodmer.“

Wspomnienie okolicznościowe matki odbiło się w jego rysach. Gdy o niej pomyślał, surowe, poważne oblicze jego wyłagodniało, rozjaśniło się, oczy straciły wyraz badawczy, chłodny; coś jakby uśmiech bolu pojawił się koło ust, a pierś podniosła się cichem westchnieniem.

— Czemuż ona nie dożyła tej chwili? — pomyślał. — Czemu nie doczekała tryumfów syna, czemu z nim razem cieszyć się nie mogła!... — Wspomnienie matki pozbawiło go spokoju duszy, jaki przed chwilą jeszcze był udziałem tego człowieka. Nie mógł dalej chodzić bezczynnie, musiał w pracy poszukać ulgi. Ona iedna absorbowała jego umysł, stawał się wśród niej napowrót obojętnym, zimnym, uczucia cofały się przed cyframi.

Siadł przed biurkiem i zaczął pisać. Im dłużej ręka jego kreśliła cyfry i wyrazy, tem twarz Bodmera stawała się bardziej zamyśloną, fałd między brwiami pojawił się na nowo, a rysy przed chwilą nerwowo poruszone wróciły do olimpijskiego spokoju. Wyglądał jak genjalny wódz, piszący swej armji rozkazy dzienne przed bitwą.

Upłynęła mu w tej pracy może godzina, gdy wszedł służący i oznajmił, że jakiś pan życzy sobie mówić z nim.

— Prosić do biura; zaraz tam zejdę...

— Ten pan mówi, że ma do pana osobisty interes...

— A... tak... poproś go o kartę...

Służący oddalił się, aby po chwili wrócić z biletem wizytowym. Podał go Bodmerowi.

Gdy tenże przeczytał nazwisko gościa, twarz mu krwią nabiegła, z oczu strzeliła błyskawica gniewu, ręka zadrżała... Ale że umiał panować nad sobą, przeto wyraz „prosić“, który rzucił służącemu, tak brzmiał spokojnie i pewnie, że mógł omylić najwprawniejsze ucho. W głosie Bodmera nie było najmniejszego drżenia.

Służący wyszedł. Bodmer stojąc przy biurze, z ręką na niem wspartą, oczekiwał gościa, który wkrótce pojawił się w osobie — Bożyckiego.

Spojrzeli na siebie. W twarzy Bodmera nie drgnął żaden muszkuł; za to w twarzy gościa było pewne zakłopotanie, które starał się ukryć.

— Jak się masz! — przemówił swobodnym niby tonem, kładąc na krzesełku kapelusz i zdejmując rękawiczki. — Djablo trudno dostać się do ciebie! Ceremonje jak u jakiego monarchy...

— Witam pana — zimno odparł Bodmer. — Chciej pan usiąść. — Wskazał gościowi fotel.

Bożycki nie siadał. Oczy jego biegały po pracowni, a widać w nich było niekłamane zdziwienie i zdumienie.

— Parbleu! Dawno nie widziałem tak przepysznej i smakownej pracowni. Ten twój pałacyk urządzony po królewsku.... No, a teraz — trzepał żywo Bożycki, stając przed Bodmerem — niech ci się przypatrzę.... Ślicznie wyglądasz.... Chłopiec jak lalka.... Zdrów jesteś?...

— Zdrów zupełnie...

Bożycki usiadł w pobliżu biurka. Bodmer stał w niezmienionej pozycji. Pod zimnym, badawczym, pogardliwym nieledwie wzrokiem jego gość kręcił się jak w ukropie.

— Cóż pana do mnie sprowadza? — zapytał Bodmer spokojnie.

— Pana! pana! porzuć raz do djabła te ceremonje — mówił Bożycki — i nazywaj mnie jak należy... Wiesz zbyt dobrze że jesteś...

— Bodmerem a nie Bożyckim — przerwał zaczepiony z groźnym naciskiem. Oko jego z pogardą spoczywało na małej postaci gościa.

— Jeśli ci o to chodzi — zaśmiał się cynicznie Bożycki — jestem gotów każdej chwili uznać cię za syna i dać ci nazwisko...

— Dziękuję. Spóźniłeś się pan o całych trzydzieści siedem lat.... Nazwisko Bodmer ma dziś tak piękny dźwięk, że jego właściciel tylkoby stracił na zamianie. Proszę więc pamiętać, że dla pana jestem tylko Henrykiem Bodmerem. — Głos jego brzmiał ostro, rozkazująco.

— Niech i tak będzie — przemówił zmięszany Bożycki. — Nie chcę nikomu narzucać moich uczuć...

Usta Bodmera złożyły się do sarkastycznego uśmiechu.

— Nie grajmy komedji — przemówił. — Nie mieliśmy dla siebie nigdy jakichkolwiek uczuć i mieć ich nie możemy. Do niedawna łączyły nas stosunki pieniężne, ale gdym przed pięcioma laty zwrócił panu kapitał jaki od niego otrzymał niegdyś mój wuj, bez wiedzy mojej matki, stoimy wobec siebie jako ludzie obcy i chyba interes kupiecki lub przemysłowy mógłby nas zbliżyć na chwilę.... (C. d. n.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XXII.

(C. d.) Odtąd życie wlokło się bardzo smutnie w pałacu starego kupca. Między wszystkimi ciężył jakiś przymus, którego zażegnać nie mogły ani usiłowania Millera, ani życie wspólne ciągłe ze sobą. Pani Łucja nic nie mówiła o scenie w bibliotece, ale też z mężem żyła na stopie zimnej grzeczności. On chodził jak ścięty. Nieraz zrywał się rano i biegł w pola i lasy, błądząc bez celu, szukając ukojenia w przyrodzie, jej urokach i jej boleściach.

Sam Miller zajęty był swemi interesami, które szły coraz gorzej i nie miał czasu wglądać z bliska w życie wewnętrzne swej rodziny i swych gości. Pokazało się, że był haniebnie oszukany przy kupnie majątku. Znalazły się jakieś znaczne zaległości podatkowe, które sprzedający potrafili ukryć, a które teraz trzeba było zapłacić, nie chcąc narazić majątku na sekwester. Okazało się, że rata towarzystwa nie była zapłaconą, że jednem słowem skorzystano bezczelnie z nieznajomości stosunków wiejskich starego kupca. Służebności były znaczne i przy nich nie można było nawet myśleć o uregulowaniu majątku jak należy. Dzięki temu wszystkiemu, pieniądze płynęły jak woda i trzeba było ciągle pisać do Lapego, aby przysyłał gotówkę. Lape przysyłał, ale listy jego były coraz śmielsze, coraz bardziej ostre, w końcu radził, żeby Miller sprzedał majątek, choćby ze stratą, byle raz wydobyć się z tej prawdziwej beczki Danaid, pochłaniającej wszystko. Miller oczywiście ani sobie mówić o tem nie dał. Wziął, jak to mówią, na kieł i bądź co bądź postanowił utrzymać się przy majątku, ale był smutny, mocno zajęty, zgryziony.

Jedna tylko Mina i Julek byli weseli wśród tego ogólnego smutku i przymusu. Dla nich życie w tym starym, wykwintnym pałacu, wśród tego parku i tej natury ustrojonej we wszystkie krasy lata, miało tylko same uroki i zachwyty. Stosunek ich do siebie tak namiętny i tak gorący, ukryty przed oczami wszystkich, miał smak zakazanego, tem więc milszego i łakomszego owocu. Wśród milczenia ogólnego i oni milczeli, ale podczas gdy inni unikali swego wzroku, oni porozumiewali się oczyma, szukali tajemnych uścisków, czarujących szeptów, kradzionych pocałunków. Nieraz błądzili po parku, wśród cienistych, wilgotnych alei, oddychając gorącą atmosferą lata, przesiąkniętą wyziewami bujnej roślinności i zatrzymując się gdzieś poza ścianą krzewów i liści, namiętnemi pocałunkami spajali swe usta. Nieraz znów wybierali się we dwoje do ruin starego zamku i błądząc wśród jego gruzów, budząc drzemiące echa przeszłości, siadali na złomach i oddawali się pod niebem z lazuru, ukryci za zczerniałemi murami, na posłaniu z trawy i bluszczu długim uściskom. Jej sumienie nie oburzało się na to wcale, że zdradza najlepszego męża, wuja swojego i dobroczyńcę, który ją wydobył z nędzy, otoczył zbytkiem i szczęściem, jakie dać może majątek i niezależność. Gniewała się teraz, gdy kto rozwijał przed nią zasady „taniej“, jak mówiła, moralności.

— Łatwo zachować cnotę — odpowiadała — gdy jej nikt nie atakuje.

Zresztą nic ją nie obchodziło teraz, nie myślała o niczem innem, jak o niedawnej rozkoszy i o czekających ją jeszcze uściskach. Powoli pesymistyczne zasady swego kochanka przyjmowała i trawiła z gorączkowością swej ognistej natury.

— Jedna jest tylko mądra zasada w tem życiu — mówiła sobie — zasada używania.

Oddawała się więc zdrożnym uściskom kochanka ze spokojnem sumieniem, bez wyrzutów, bez widma zgryzoty tajemnej, bez myśli o jutrze, o przyszłości, o wiszącem ciągle nad nimi niebezpieczeństwie zdradzenia się. Wszystko jej to było jedno, byle miała kochanka przy sobie, byle się z nim widzieć mogła.

Julek ze swej strony coraz namiętniej przywiązywał się do tej kobiety, zawsze prześlicznej, zawsze będącej dla niego zakazanym owocem. Gdy mu się

nie pokazywała przez parę godzin z rzędu, szukał jej wszędzie, uważał się za najnieszczęśliwszego z ludzi. Co chwila znajdował w niej nowe piękności, nowe upojenia zmysłów. Patrząc na nią, zawsze mu się przypominała ta chwila w maleńkim złoconym pokoiku, z całowaną przez Łabędzia Ledą, z atmosferą duszną, parną, kryjącą w sobie burzę. Pamiętał jak mu wtedy po wszystkich nerwach przebiegały jakieś prądy ciepłe, jak żar gorącego południa letniego przesiąkał do krwi jego. Drżał na myśl o tem.

Potem już tych wspomnień nie zachowywał. Już nietylko złocony pokoik pałacu, ale cieniste aleje parku, altany ukryte w gąszczu, ruiny starego zamku, niebo lazurowe, gwiazdy migocące, księżyc i słońce, murawy lasu, wszystko było świadkiem ich miłosnych upojeń. Trudno było każde z tych miejsc spamiętać. Teraz inne uczucie się w nim budziło, uczucie zazdrości. Wielekroć wieczorem Miller i jego żona żegnali się z towarzystwem, wszystka krew w Julku wrzała. Niekiedy wybiegał do parku, podkradał się pod ich okno i patrzył na błądzące po białej firance dwa cienie. A gdy światło zgasło w tym pokoju, szarpał się za włosy z gniewu i zazdrości. Czynił jej ciągłe wyrzuty, żądał niemożliwych od niej rzeczy. Mina patrzyła na niego trochę zdziwiona, trochę smutna i mówiła:

— To czego odemnie wymagasz, jest niemożliwem. Odrazu wzbudziłoby to podejrzenie. Muszę być uległą żoną, chcąc być kochanką twoją....

Przyznawał jej w duszy słuszność, tłómaczył sobie, że przecież ona nie może inaczej postępować, ale z tem wszystkiem zazdrość, szalona zazdrość go trawiła. Na widok tego męża, starca zasuszonego nad zawijaniem pieprzu, jak mówił, męża, który ma prawo niczem niezaprzeczone do Miny, prawo spokojne, prawo niedające się znieść, ogarniała go taka wściekłość, że niekiedy przychodził do kochanki i mówił jej, że nie ma innego środka, tylko muszą ztąd uciekać oboje.

— Żartujesz chyba — odpowiedziała mu ze zdrowym rozsądkiem kobiety — a cóżbyśmy robili? Toć przecież gdybyśmy teraz mieli uciekać i robić straszliwy skandal, lepiej było, żebym była poszła za ciebie odrazu a nie za Millera. Ale tak samo jak wtedy, pytam się ciebie, Julku, co będziemy robić, gdy uciekniemy?... Nie! nie!.. miejże rozum i czego ty wreszcie chcesz? Wiesz że cię kocham i czegoż ci więcej potrzeba?... Owszem, taki stosunek jak nasz, pomimo że w gruncie rzeczy jest zdrożny, ma przecież tę zaletę, że jest pełen uroku. Gdybym z tobą uciekła, w tydzień, w miesiąc wreszcie sprzykrzylibyśmy się sobie wzajemnie przy braku środków, tego dobrobytu i wykwintnego otoczenia, do jakiego przywykłam i z którem za nic rozstać się nie mogę i nie chcę. Tak jak jest, jest dobrze. Nasze schadzki, nasze kochanie się zawsze połączone z niebezpieczeństwem, nadaje naszej miłości tę barwę pełną tajemnic.

— Masz słuszność Mino, ale Miller, Miller!...

— Miller! dajże pokój Julku — zaśmiała się.— On kontent, że może pójść spać, a ty go posądzasz Bóg wie o co. Mówi że masę pieniędzy wydał i wydać jeszcze musi, że jest na pół zrujnowanym, choć ja temu nie bardzo wierzę i nie wiele mię to wreszcie obchodzi, ale jego to martwi i myśli tylko o tem, jak i zkądby wyciągnąć jaki dochód, któryby pokrył choć część wydatków. A potem, mój Julku — dodawała rumieniąc się — jestem jego żoną i muszę być uległą.

Wszystko to było słusznem, przyznawał to sam Julek, ale nie przestawał być zazdrosnym. Zazdrość ta trawiła go, jadła jak rdza zjada żelazo. Był teraz ciągle gniewny, ponury, zgryźliwy. Już teraz wszystko obejmował swym szarym, posępnym pesymizmem.

— Głupi, kto się powierza kobiecie — wołał — lepiej żeby na wątłej łodzi puścił się na fale burzliwego oceanu. Wszystko, absolutnie wszystko na świecie nie ma żadnej wartości.

Uspokoił się dopiero wtedy, gdy pewnego dnia szepnęła mu do ucha, że spodziewa się zostać matką, że jest tego prawie pewną, że ją to napawa niewypowiedzianem szczęściem, boć nosi pod sercem owoc ich miłości wzajemnej, że nakoniec uwalnia ją to od męża.

Teraz dopiero rozweselił się trochę, chodził z czołem i wzrokiem jaśniejszym i mniej czarno patrzył na świat, na kobiety i na życie. Wiadomość, którą miał od Miny, rozeszła się wkrótce po całym domu i kobiety szeptały ją sobie, uśmiechając się tajemniczo.

Miller był z tego niezmiernie zadowolony i dumny. Stanowiło to jedyny promień w jego życiu teraźniejszem, pełnem kłopotów i złowróżbnych na przyszłość widoków. Gdy mu teraz zwracano uwagę, że się zapracowuje, że to może szkodzić jego zdrowiu, odpowiadał z uśmiechem pełnym dumy:

— To nic, pracuję dla mego syna, bo będę miał syna, jakem Miller! Muszę mu zostawić dużo pieniędzy, bo pieniądze na świecie są wszystkiem.

Winszowali mu zresztą tego szczęścia, które niewiadomo dla czego wywoływało uśmiech na usta winszujących. Jakieś tajne podejrzenia zaczęły powstawać w umysłach. Poczęto teraz zwracać baczniejszą uwagę na szepty, spojrzenia, uśmiechy, na przechadzki w parku i zamku, na długie spoczynki w altanach, na samotne czytywanie książek dwojga młodych ludzi, Julka i Miny. Atmosfera pałacu zdawała się dyszeć podejrzeniami, stąpano jak po wulkanie.

Joanna nie winszowała wcale bratu. Opowiadał jej o tem z uniesieniem, właściwem swej poetycznej naturze w obecności Miny, którą całował po

białych rękach, której zalecał ostrożność, którą nakoniec pragnął otoczyć możliwemi wygodami i bezpieczeństwem.

Joanna wysłuchała tego wszystkiego w milczeniu, powoli podniosła swe zimne, szare, groźne, stalowe oczy i wlepiła je w Minę. Patrzyła tak długo, jak gdyby starała się przeniknąć do duszy, do najtajniejszych skrytek umysłu i serca swej bratowej. Mina nie mogła wytrzymać tego wzroku i rumieniła się pod nim jak wiśnia. Wreszcie przerażał on ją. Zgodnie ze starem przysłowiem, że na złodzieju czapka gore, zdawało się jej, że Joanna wie o wszystkiem, że może kiedy podpatrzyła jej uściski z Julkiem, że ją wyda, że mąż ją wypędzi, że jednem słowem stanie się skandal straszny, okropny...

Ale Joanna nic nie mówiła. Popatrzyła na Minę i poczęła słuchać słów brata, który rozpowiadał szeroko i długo, jak należy urządzić pokój Miny i co jej dawać jeść, aby była zdrową, swobodną i spokojną. Joanna wysłuchała tego wszystkiego poważnie i wstając rzekła:

— Dobrze Fryderyku, jak każesz tak będzie.

Potem wyszła, nie patrząc na Minę.

XXIII.

Pewnego wieczora już ku końcowi sierpnia, gdy Zarembowie za parę tygodni mieli opuścić Zalesie i przenieść się do Warszawy, w chwili gdy wszyscy siedzieli na tarasie, rozkoszując się cichą nocą sierpniową, nagle z poza drzew parku buchnęła krwawa łuna i poczęły się rozlegać krzyki pełne przerażenia:

— Gore! gore! stodoły się palą!

Jakoż po za ogrodem niebo czerwieniło się tą mętną, niejednostajną, kłębiącą się w sobie, ruchliwą barwą, która znamionuje pożar. Wielkie kłęby dymu uderzały ciągle z dołu, rozpływały się w górze i wkrótce pokryły pół horyzontu czarną, brudną płachtą. Niekiedy w tę masę dymu wciskał się złotawy płomyk ognia, błysnął i zniknął. Za to gromady iskier sypały się jak z czeluści, pryskały w górę, zataczały wielkie koła i gasły. Drzewa parku na tem tle brudno-purpurowem rysowały się z dokładnością. Niemal każdą gałęź, każdy listek wielkich grabów, drżących od wiatru, wywołanego ogniem, można było rozróżnić. Płomieni z tarasu nie było widać, gdyż zakrywały je drzewa i dach pałacu, ale od krwawego tego ognia krwawiły się konary drzew, pokrył się czerwonym blaskiem gazon przed tarasem i ścieżka. Biała figura Cerery, trzymającej pęk kłosów i sierp, zaróżowiła się cała. Słychać było trzask palącego się ognia, a iskry w górę pryskające wydawały jakiś głuchy, niemiły szelest. Uroczysty, nie pozbawiony efektu kontrast z tą purpurą ognia, stanowiło niebo sierpniowej nocy, czyste, ciemno-lazurowe, pełne nieskończonych głębi, pokryte migocącemi gwiazdami, poważne, milczące, ciche i tajemnicze. Na to niebo takie czyste i drzemiące, takie spokojne i zadumane w sobie, padały kłęby dymu wirujące, bałwaniące się i rozpływające się coraz szerzej, pełne czerwonych, ponurych odblysków i iskier biegnących w przestrzeń z jakąś szaloną siłą rzutu. Cisza wieczorna, ta cisza, która romantycznych poetów nastraja na tony najwyższych natchnień, cisza istotnie pełna poezji wrzała teraz zmięszanemi krzykami, jakimś niedającym się rozróżnić chaosem głosów ludzkich i ryczenia zwierząt. Od czasu do czasu ktoś głośniej wrzasnął: „wody!“ a tu znów ktoś krzyczał: „owczarnia się pali! obora się pali! ratujcie bydło!...“

W rzeczy samej ogień, podsycany wiatrem, który się zerwał nagle, ogarniał jedno zabudowanie po drugiem. Oprócz stodoły paliła się już obora i owczarnia. Ludzie, jak zwykle bywa, potracili głowy. Zrobiło się straszne zamięszanie. Ryk zamkniętego bydła i owiec dodawał jeszcze więcej okropności temu bez zaprzeczenia okropnemu obrazowi. Nim ludzie się zbiegli, nim Miller i obaj Zarembowie uorganizowali jaki taki ratunek, stodoła stała już cała w płomieniach, obora także, a owczarni, kosztownej zarodowej owczarni groziło straszne niebezpieczeństwo. Ledwie zdołano uratować część bydła; owiec zbitych w jedną masę prawie niepodobna było wypędzić na dziedziniec, pomimo nadzwyczajnych wysiłeń. Woda była daleko, bo aż w stawie pod zamkiem i z wielkim trudem ją dowożono, zawsze w tak małej ilości, że było to prawie niczem i ratunek był w ogóle prawie żaden. Wiatr niósł iskry, całe snopy słomy ze strzech stodoły na pałac i już tam pakowano i wynoszono do parku co kosztowniejsze sprzęty. Ptactwo, wrony i kawki zbudzone niezwykłym blaskiem, kracząc kołowały koło dymu i ognia. Pożar rozszalał się straszliwie.

Wkrótce owczarnia stanęła w płomieniach. Uratowano tylko kilkanaście owiec, reszta gorzała wśród rozpaczliwego jęku. Konie wyprowadzone ze stajni, zagrożonej pożarem, nie pilnowane przez nikogo, rozbiegały się i pędzone strachem, tratowały wszystko przed sobą. Ludzie biegali, potrącali się, krzyczeli, a ostatecznie nie wiele robili.

Miller blady, znużony, przyszedł na ganek pałacu, gdzie stały kobiety drżące, zapłakane, przerażone, usiadł na ławce i ukrył twarz w dłonie. Klęska jaka go teraz spotkała, to ruina! Widział to i wobec własnej bezsilności, wobec niemożności zapobieżenia stratom jakich doznał, usiadł w rozpaczliwem poczuciu swej nicości.

Och, czemuż nie siedział w Warszawie, przy swym dobrym, poczciwym sklepie, stanowiącym teraz jego jedyny ratunek i jedyne utrzymanie; czemu uciekł ze swego kąta cichego, od swego spokoju, swych zajęć jednostajnych co prawda, ale za to nie miotanych żadnemi burzami, nie zagrożonych żadną niespodziewaną klęską!

Tak myślał i już nie patrzył na ten straszliwy obraz zniszczenia, jaki się przed nim rozwijał. Ogień wrzał w całej sile. Właśnie zapadł się dach nad oborą, buchnęły płomienie, posypał się rój iskier, i ryki palącego się bydła, przerażające do szpiku kości każdego, ucichły. Owczarnia stała cała w płomieniach. Od niej na drzewa gościńca, na wysokie topole włoskie padały migotliwe, krwawe błyski i drzewa te szarpane wiatrem, na czarnem tle nieba wyglądały jak widma. Co chwila pochylały się one, źle oświetlone, na pół ginące w ciemnościach, jakby chciały całować ziemię. Wiatr zrywał z nich mnóstwo zeschłych liści, unosił je, miotał niemi, rzucał w otchłań pożaru. Koło drzew spłoszone wrony unosiły się wysoko, raz widoczne pod blaskiem ognia, znów tonące w ciemnościach i posępne ich krakanie słychać było wyraźnie pomimo trzasku ognia, beku owiec, wrzawy ludzkiej.

Na dachach pałacu umieszczono ludzi, którzy trzymając w ręku naczynia z wodą, siedzieli nieruchomi, krwawo oświetleni, wpatrzeni w straszne przed sobą widowisko. Tam przed samym ogniem, na tem ruchliwem, czerwonem, ognistem tle rysowali się ratujący, podobni do cieniów z Latarni czarnoksięskiej. Swąd nieznośny spalenizny, gorejącego mięsa, rozchodził się daleko, dusił, nie pozwalał oddychać. Dzięki energji Julka, urządzono teraz łańcuch z ludzi od palących się budynków do stawu, którzy podawali sobie wodę. Zebrano w całym domu wszystkie beczki, zaprzężono kilka wozów i co koń wyskoczy gnano po wodę. Tratowano gazony parku, niszczono przepyszne kwiaty, ratowano o ile się dało i co było można, krzyczano jeszcze więcej.

Nakoniec poczęła nadchodzić pomoc z sąsiednich wiosek. Ten i ów z sąsiadów przybiegł co koń wyskoczy z kilkunastu ludźmi i kilku beczkami, ów przybiegł z sikawką, inny z osękami i toporami, z czem kto mógł. Ze Stopnicy przysłano dwie stare sikawki, co prawda źle funkcjonujące, ale zawsze lepsze od pierwotnego ratunku, jaki udało się zorganizować Julkowi.

Dzięki tej pomocy, zawrzało teraz inne życie koło ognia. Przestano ratować już to, co się uratować nie dało, ale broniono tylko zacięcie i uparcie budynków dotąd całych. Robiono straszliwe wysiłki, by mieć więcej wody, której ciągle brakowało. Konie wszystkie jakie tylko miano, jakie zdołano zebrać ze wsi, użyto do wożenia wody, i dzięki temu, po kilku godzinach zaciętej walki z żywiołem niszczącym, zdołano go w końcu opanować.

Różowy świt letniego poranku zastał dymiące się jeszcze zgliszcza i straszliwą ruinę dokoła. Smród ze spalonego bydła był tak straszliwy, że niepodobna było wytrzymać w pałacu i musiano się wynieść do parku stratowanego i zdeptanego nielitościwie, do paru altan, gdzie kobiety umieściły się jak mogły.

Dzień okazał dopiero całą doniosłość zniszczenia. Stodoły i gumna, w których zebrane było prawie wszystko zboże jakie pozostało po gradzie i wszystko siano jakie miano w Zalesiu, zgorzały ze szczętem. Z tlejącego zboża rozchodził się nieznośny swąd i wznosiły się czarne słupy dymu. Szczęściem wiatr ustał i dzień był prześliczny, ciepły, którego wesołe słoneczne blaski dziwnie wyglądały obok tego zniszczenia. Szczątki obór dymiły także. Z pod opalonych belek, zwalonych ścian, snopów przepalonej strzechy, wystawały rozdęte wymiona przepysznych krów holenderskich, kawały skóry czarnej, popękane czerwone mięso biednych zwierząt. Ówdzie sterczała noga z racicą czarną, spaloną na węgiel, tam oba rogi trzymające się na kawałku zdrowej, włosem jeszcze pokrytej skóry, dziwnym cudem ocalałej. Buhaj jeden w konwulsjach agonji, we wściekłym szale od bólu, wbił oba swe rogi w belkę i tak leżał z czarną tą belką na swych rogach, z racicami zarytemi w ziemi, wydęty, popękany cały, tak, iż wysuwały się z niego wnętrzności mokre, śluzowate, wilgotne, gdzieniegdzie tylko spalone.

W owczarni nie mniej straszny przedstawiał się widok. Gromada owiec zbita w jedną masę leżała czarna, gdzieniegdzie świecąc kawałkami wełny, gdzieniegdzie żywem mięsem. Ludzie ze wsi porywali to mięso i nieśli do siebie.

A nad tem wszystkiem unosił się dym ciężki, przepełniony wyziewami, duszący i smrodliwy, rozchodząc się leniwie, nie mogąc się wzbić w powietrze, wciskając się wszędzie. Ludzie brudni, zasmoleni, czarni i zmęczeni kręcili się wśród tych ruin i gasili resztki jarzącego się jeszcze ognia.

Kilkanaście drzew, otaczających stodoły, obory i stajnie, wznosiło swe nagie, czarne, opalone konary, gdzieniegdzie tylko pokryte liściem. Stada wron zleciały się do spalonego mięsa i odganiane przez ludzi, unosiły się w powietrzu, kracząc przeraźliwie.

Dziedziniec pałacu niedawno błyszczący szmaragdową zielenią, szeroką drogą pokrytą żółtym piaskiem, szemrzący melancholijnie spadającą wodą fontanny, przedstawiał teraz niemniej przykry obraz zniszczenia. Gazony były stratowane i zdeptane. Grupa roślin otaczających basen wodotrysku, roślin wodnych, szerokolistnych, walała się połamana, wdeptana w ziemię, zanurzona w czarnem błocie. Sam wodotrysk był popsuty, tryton miał odtrąconą bronzową paszczę i woda sączyła się z niego kilku strumieniami.

Pod skrzydłami pałacu stały jeszcze w chaotycznym nieładzie sprzęty służby dworskiej, która przerażona wynosiła wszystko co miała na dziedziniec. Tu czerniał kufer, ówdzie skrzynka prosta drewniana, pomalowana jaskrawo, tam łóżko, na którem sterczały poduszki, pierzyny, w poszewkach z płócienka w paski różowe lub niebieskie. Na jednej z tych pierzyn leżał kot duży, biały i drzemał na słońcu ze

spokojem niczem nienaruszonym. Po dziedzińcu łaziły gromadnie kury, gęsi, kaczki, indyki i grzebały dokoła, nie pilnowane przez nikogo. Paw ze wspaniałym ogonem wskoczył na murek dziedzińca i głosem brzydkim, posępnym, krzyczał czegoś ciągle. Gromady psów nie spędzone do bud, włóczyły się między szczątkami, rozciągały kawały na pół przepalonego mięsa bydląt i pożerały, zacięte z sobą staczając walki.

Park był także mocno zniszczony. Przez trawniki, przez sam środek gazonu przed tarasem, gazonu pełnego kwiatów krajowych i egzotycznych, wyżłobiono szeroki gościniec, którym wożono wodę. Prześliczne, drżące wieczyście tuje, kaktusy okryte purpurowym kwiatem, szerokolistna agawa, ogromne ciemnozielone fikusy, połamane, zdeptane, walały się w mokrem błocie drogi, na którą wylało się mnóstwo wody wożonej tędy. Ktoś w pędzie zawadził o Cererę białą i urwał jej całą rękę ze snopem zboża. Ręka ta potrzaskana nużała się w kałuży grząskiego błota. Owce wyratowane w liczbie kilkunastu, parę sztuk bydła i kilka koni, wpędzonych do parku, włóczyło się tamże, szczypiąc trawę i napełniając to śliczne miejsce posępnem beczeniem. Na wszystkiem znać było świeżą klęskę, zamęt i nieład, jaki złąd powstał. Przy stawie leżał wóz, u którego złamała się oś i spadła z niego beczka popękana na szczątki.

Gdy Miller wszystko to rano obejrzał dokładnie, przyszedł do żony blady, z twarzą pokrytą kroplistym potem i rzekł głosem pełnym ponurej rozpaczy:

— Mino! jesteśmy zrujnowani! (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Po chwili weszli wszyscy do izby, gdzie Krystyna i chłopiec przyglądali się niespodziewanym gościom z otwartemi ustami, a gdy usiedli chcąc choć chwilę odpocząć, z opowiadań ich dowiedział się Ambroży o wszystkiem.

Wczoraj po południu przy pięknej pogodzie wyszedł pewien przyjezdny wraz z dwoma przewodnikami celem zwidzenia „Szczytu lodowego“. Chcieli przenocować w domku myśliwskim i przy pierwszym brzasku dziennym udać się na sam szczyt. Zamiar ten zapewne im się udał, ponieważ poranek był pogodny i słoneczny i musieli zapewne już dawno być w drodze z powrotem, gdy burza nadeszła. Gdyby ich wśród skał zachwyciła, trzeba było być na najgorsze przygotowanym i dlatego cała dolina była w poruszeniu.

Krewni owego obcego chcąc bądź co bądź wiadomość otrzymać, a w razie potrzeby pomoc potrzebną dostarczyć, z wielkim trudem wyszukali kilku przewodników, którzy mimo burzy i śniegu pójść w góry zdecydowali się. Oberzysta, który był znakomitym przewodnikiem i znał góry najdokładniej, stanął na czele wyprawy, do której dobrowolnie przyłączył się doktor Eberhardt. Zamierzono najpierw dowiedzieć się w dworku Ambrożego, czy przypadkiem poszukiwani tam się nie schronili, a następnie, gdyby to było możliwem, dotrzeć aż do domku myśliwskiego.

— A więc, czy jest możebnem dojść aż do domku myśliwskiego? — zapytał oberżysta. Ambroży jednak skinął przecząco głową.

— Nie sądzę by to się na co przydać mogło! Burza nadto tam w górze szalała i właśnie w tym kierunku zsunęła się wielka lawina; słyszałem jej grzmot straszliwy. Na nic by to się nie przydało! Albo siedzą bezpieczni w domku, a wówczas niema żadnego niebezpieczeństwa, i mogą tam spokojnie doczekać jutra, gdyż domek jest silny, a jutro wykopiemy ich ze śniegu, albo też nie zdołali tam się ukryć, a wówczas niech im Bóg dopomaga!... Nasza pomoc na nic im się nie przyda!

Oberżysta skinął głową potakująco a inni patrzyli na siebie pytająco. Ambroży uchodził za wyrocznię pod tym względem. Gdy oznajmił, że nic nie ma do zrobienia, to można było być pewnym, że tak jest w istocie. Tylko doktor Eberhardt, który wogóle żadnej wyroczni nie uznawał, przerwał gniewnie:

— Tak? więc my mamy tu spokojnie siedzieć, gdy ci trzej może leżą przysypani lawiną, a za chwilę mogą wydać ostatnie tchnienie? Piękna by była gadanina i hałas, gdybyśmy tę wiadomość napowrót przynieśli! Pani Ewelina nowinę tę przepłaciłaby życiem, to więcej jak pewne! Gdyby choć płaczem lub lamentem objawiła swą boleść... Ale ta cicha trwoga i przerażenie, to oko suche jakiem na mnie patrzyła gdym jej słowo i rękę dawał, że sam pójdę ich szukać, ten cały spokój stanowczo zabić by ją musiał, a wówczas daremną by była moja całoroczna męka i Mertens twierdzić by mógł tryumfująco, iż miał rację, a ja musiałbym milczeć jak trusia! O! gdybym tak miał tu pod ręką tego Henryka Kroneg, ładne usłyszałby kazanie; nauczyłbym młodzika, co to znaczy ludzi tak okropnie trwożyć!

Ambroży drgnął usłyszawszy to nazwisko i zwrócił się szybkim ruchem do doktora.

— Kto mówisz pan? Kto na szczyt się udał?

— Młody pan Kroneg—odrzekł szybko oberżysta. — Znasz go dobrze Ambroży, gdyż wiele razy w zeszłym roku był u ciebie. On to na szczyt się udał, wraz z Wincentym Ortler i Sebastjanem.

Oblicze starego mieszkańca gór przybrało wyraz, który od wielu lat nie zagościł na tej zbrużdżonej i opalonej twarzy — wyraz serdecznego przestrachu. Po chwili dopiero rzekł głucho:

— Więc on jest znowu tutaj? Nie wiedziałem o tem... w takim razie pomoc musi wyruszyć... musi koniecznie!...

Przystąpił szybko do okna i patrzył przez nie kilka sekund, podczas których wszyscy oczekiwali w milczeniu.

Po chwili zapytał oberżysta:

— Więc jakże? będziemy się starać dotrzeć aż do domku myśliwskiego?

— Ha, może to nam się i uda — rzekł Ambroży zwracając się ku nim. Białe brwi starca były mocno ściągnięte, a oczy jego płonęły blaskiem dziwnie ponurym. — Może nam się to uda — powtórzył — lecz tę drogę łatwo życiem przepłacić. Radzę wam przeto pozostać tutaj, a ja sam pójdę.

Po tych słowach zbliżył się do ściany, gdzie jego płaszcz wisiał i gdzie laska stała oparta. Oberżysta począł coś cicho lecz żywo z towarzyszami swymi rozmawiać, doktor Eberhardt zaś mruczał gniewnie:

— Co za szalone szczęście ma ten Henryk! Gdy się o niego rozchodzi, każdy gotów pomagać, choćby kark miał skręcić! Wygląda to, jakby cały świat oczarował! Choć rzeczywiście... i ja tak samo sobie postąpiłem!... Głupia historja!

Ambroży tymczasem zebrał się do drogi i już wziął kij do ręki, gdy mu oberżysta drogę zastąpił.

— Pójdziemy wszyscy razem! — rzekł stanowczo, podczas gdy drudzy żywo przytakiwali. — W sześciu wszystkim nam będzie bezpieczniej, tylko doktor Eberhardt pozostanie w dworku.

— Ani mi to w głowie! — zawołał Eberhardt, stając szybko przy przewodnikach. — Idę z wami i koniec!

— Nie zdążysz pan za nami! — rzekł Ambroży krótko. — Czyś pan słyszał, że to łatwo życiem przepłacić?

— To już moja rzecz! Wcale to do was nie należy, co ze swem życiem robię lub robić zamyślam! — zawołał doktor z gniewem. — A co się tyczy nadążenia i mej wytrzymałości, to jeszcze pytanie kto z nas wytrzymalszy! Zapytaj się oberżysty, który mię widział w drodze do twego dworku. Idę z wami i koniec! Gdy wreszcie tych trzech rzeczywiście znajdziemy, wówczas doktor z pewnością będzie potrzebny.

Ostatni argument był tak przekonywujący, iż oporu nie dopuszczał, to też i Ambroży już się nie sprzeciwił. Stanął na czele tej małej wyprawy, która odważnie wyruszała wśród ciągle jeszcze trwającej śnieżycy.

Droga do domku myśliwskiego przy najpiękniejszej pogodzie nie była zbyt bezpieczną nawet dla doświadczonych mieszkańców gór. Dziś niebezpieczeństwa te stokrotnie zwiększała mgła i świeżo spadły śnieg. Grunt był rozmokły i ślizki, szczeliny i rozpadliny śniegiem zawiane i każdy krok musiał naprzód być badany. Często nie znachodziła noga stałej podstawy, na której by się pewnie oprzeć mogła, a chwilami mgła stawała się tak gęstą, iż o stopę przed sobą nic zobaczyć nie można było. Nie raz trzeba było się wydrapywać z rozpadliny zawianej śniegiem, w którą wyżej pasa się zapadło, to znów chronić się przed masą śniegu, która z szumem zsuwała się z góry. Jedna taka lawina mogła wszystkich doszczętnie zasypać. Stary Ambroży miał rację, nie raz było życie w niebezpieczeństwie przy tej odważnej wyprawie a stosunkowo krótka droga do domku myśliwskiego zdawała się nieskończenie przedłużać.

Mówiono mało ze sobą lecz posuwano się naprzód powoli lecz ciągle. Ludzie ci byli zahartowani i obeznani z niebezpieczeństwami swych gór rodzinnych i nie była to pierwsza wyprawa ratunkowa, którą przedsiębrali. Spoglądali tylko z niemym podziwem na doktora Eberhardta, który z młodzieńczą siłą i krzepkością, z niemal do wiary niepodobną wytrzymałością trudy ich podzielał. Dotąd znali go tylko jako nieprzyjaciela całej ludzkości, który się z gniewem i pogardą od całego świata odwrócił i zakopał w swym dworku; jako egoistę, który cierpiących, szukających u niego pomocy, niemal za drzwi wyrzucał; który twardo i nieużycie opierał się swą umiejętnością życie komuś uratować, a teraz dzieli on dobrowolnie z nimi trudy i niebezpieczeństwa i ryzykuje bezwzględnie swoje życie, aby cudze uratować. Jakby za poprzednią umową wzięli go we środek i przesadzali się jeden nad drugiego, by czuwać nad każdym jego krokiem, każdą przeszkodę usuwać z drogi. Zdawało się, iż uważają go za dobro powierzone ich pieczy, za którego bezpieczeństwo wszyscy byli odpowiedzialni.

Wreszcie po wielu trudach dotarli do celu, na ostatnią wdrapali się wyżynę i nie mogąc z utrudzenia schwycić oddechu zobaczyli nizki dach domku myśliwskiego. Gdy poszukiwani tam się znajdowali, wszystko było dobrze, lecz na głośne nawoływania, które teraz podniesiono, nie odpowiedział żaden wesoły wykrzyk, a gdy dotarłszy do zasypanego śniegiem wchodu, drzwi otworzono, okazało się, że wnętrze było puste, nigdzie nie było widać śladu pobytu ludzi, nigdzie śladu zaginionych.

Było to gorzkim zawodem dla przybyłych. Teraz już istniał jedynie cień nadziei, znaleźć zaginionych przy życiu. Gdyby nawet przed gwałtownością burzy szukali i znaleźli byli ochronę wśród jaskiń lub załomów skał, burza przeszła już od trzech godzin, mogli przeto już być tu dawno, a nawet być stanowczo musieli, gdyż obaj przewodnicy dobrze o tem wiedzieli, że noc przepędzona na wolnem powietrzu wśród śnieżycy, zapewne ostatnią w życiu być musiała.

Zeszli się też wszyscy na wspólną naradę. Rozchodziło się o to, czy pozostać jeszcze tutaj, czy dać wszelkim poszukiwaniom spokój i wrócić napowrót. Głosy były podzielone, wreszcie Ambroży odezwał się stanowczo:

— Zróbmy ostatnią próbę! Droga jeszcze przez czas pewien prowadzi po tych ławicach śnieżnych i te z trudem wprawdzie przejść możemy aż do właściwej stromej wyżyny, ciągnącej się już aż do wierzchołka. Gdy i tu nie znajdziemy żadnego śladu, wówczas zakończymy dzisiejsze poszukiwania i wówczas wrócimy napowrót. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Głos jej z razu drżący i stłumiony potężniał, przybierając ton skargi namiętnej. Gdy zamilkła cicho zrobiło się w salce, tylko stary klawikord z drzewa różannego wyłożony bogato złotem i perłową macicą jęknął echem żałośliwem, jakby po cienkich strunach czyjeś westchnienie przeleciało.

Detlew powstał, do głębi wzruszony. To był zatem klucz zagadkę rozwiązujący? Widziała w nim pół-boga, a dziś nie może przebaczyć że był tylko... człowiekiem. Oh! te niepoprawne, rozmarzone głowy kobiece! Zawsze w ostatecznościach!... Ale jak tu złemu zaradzić?

Kamerdyner wszedł na palcach, zapowiadając wizytę barona Gehren.

Rodzeństwo na chwilę oniemiało ze zdziwienia.

Detlew pierwszy oprzytomniał:

— Prosimy! serdecznie prosimy! — wykrzyknął, przytrzymując silnie Astę i rękę jej kurczowo ściskając ze spojrzeniem błagającem, gdy zerwała się chcąc uciekać.

Zdawało mu się, iż chwila poprzedzająca wejście Romana, trwa całą wieczność.

Rodzeństwo uderzyła na pierwszy rzut oka zmiana olbrzymia, jaka zaszła w Romanie. Nie rumienił się i nie mieszał na widok Asty. Ukłonił się jej, jakby obcej zupełnie; zimno, sztywnie, z konwencjonalnym na ustach uśmiechem.

Nie był to już ów gładki salonowiec, ów giętki dyplomata, wyczekujący, z jakiego tonu ona zacznie rozmowę aby się do tego zastosować. Obecnie on czuł się panem sytuacji.

— Chciałem ci podziękować kochany baronie — zwrócił się bez cieniu zakłopotania do Detlewa — za pamięć o mnie i na bal zaproszenie. Szczerze żałowałem, iż nawał pracy pozbawił mnie tak wielkiej przyjemności.

Detlew zbity z tropu krwią zimną Gehrena i jego pozorną obojętnością, która mu najfatalniej szyki psuła co do uplanowanego pogodzenia powaśnionych, starał się pokryć zmięszanie i niepokój, odpowiadając żartobliwie:

— Znajoma piosnka! Służba... karjera... konik panów ulubiony, skoro wam się nie chce wziąć udziału w jakiej zabawie.

— W braku innego pokaźniejszego rumaka, dobry i taki — zaśmiał się sucho Gehren. — Spędziła pani przyjemnie sezon zimowy? — spytał Astę tonem lodowatym.

Serce jej się ścisnęło na ten frazes zdawkowy światowej uprzejmości, uderzyła jednak w ten sam ton, odpowiadając najobojętniej:

— Sezon tegoroczny nie wyróżniał się niczem od poprzedzających.

— Oh! przeciwnie — Detlew wtrącił w duchu szczerości. — Nudziliśmy się więcej niż kiedykolwiek. Daję słowo, iż był to raczej czas przykrych doświadczeń, niż miłych rozrywek.

— No! szkoła podobnych doświadczeń przyda się każdemu z nas — po ustach Romana przewinął się uśmiech sarkastyczny — chociaż nie zawsze umiemy być tym wdzięczni jak by należało, którzy dopomagają w odbyciu tego kursu nader praktycznego.

Asta jeszcze więcej pobladła.

— Nie będę panom dłużej przeszkadzała — szepnęła głosem ledwie dosłyszalnym.

Detlew jednak był innego zdania.

— Chciałaś przecie oglądnąć moje nowe nabytki! — wykrzyknął. — Muszę ci oznajmić drogi baronie, że dodałem z boku rodzaj pawilonu, czem właściwie sprofanowałem czystość stylu *renaissance'y*... nie miałem atoli gdzie pomieścić tego wszystkiego... Śpieszmy się jednak, jeżeli mamy za dnia jeszcze te cuda oglądać.

Szedł naprzód, prowadząc przez szereg pokoi, urządzonych każdy w innym rodzaju.

Asta z Romanem postępywali za nim w głuchem milczeniu, podczas gdy on ich bawił *a la cicerone*, opowiadając to i owo, i każdy przedmiot wynosząc pod niebiosa z wrodzonem uniesieniem.

— Nie widziałeś baronie — wskazał ręką Romanowi — tej szafki na klejnoty. — Weszli byli właśnie do salki w stylu *baroque*, lśniącej złotem i purpurą. Na słupie marmurowym, w jednym z rogów salki stała szafka z hebanu, misternie wyrzynana z inkrustacjami ze złota, kości słoniowej, perłowej macicy i rozmaitych drogich kamieni. — Dostałem ją w spadku po stryjaszku, jak Krezus bogatym, który umarł w Frankfurcie... Myślałem, że w niej znajdę pełno brylantów, a znalazłem, co?... kilka brudnych świstków z najpospolitszemi rachunkami!

Asta nie drgnęła, nie mrugnęła, ust nie otworzyła, a jednak Romanowi krew falą płomienistą do głowy uderzyła i czoło się zarumieniło. Z dawien dawna ludzie, których wiąże prąd magnetyczny, umieją

nawzajem odgadywać myśli swoje, choćby najgłębiej ukryte. I on też w oczach Asty wyczytał:

— Jest więcej na świecie szafek podobnych, na pozór ozdobnych i drogocennych, a w których można li znaleźć... nędzne i brudne rachunki!

I Detlew odczuł mimowolnie, że nierozważnie potrącił strunę drażliwą. Starał się zatem zatrzeć czemprędzej przykre wrażenie zdwojoną uprzejmością. Szybko wysunął się naprzód, otwierając drzwi do pokoju obok.

Było to coś w rodzaju eleganckiego przedsionka, sklepionego lekkiemi wytwornego rysunku arkadami. U drzwi, niby na straży postawiono zbroję starożytną. Niczego tu nie brakło, a na wszystkiem osiadła poważna „rdza wieków“... Naprzeciw, sparta o taburet, leżała lutnia wędrownych Trubadurów, na której również widać było ząb czasu niezatarty. Drzwi drugie zasłaniał kobierzec wyblakły, ręcznej roboty.

— Tandeta żydowska tylko w wyższym stylu... Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej! — zaśmiał się Detlew. — Nabyłem również starą kronikę, spisaną na pergaminie. Otóż ten kobierzec miała tkać misternie lata całe, dama wielkiego rodu za pokutę, iż przez dumę odepchnęła miłość szczerą rycerza szlachetnego, który z rozpaczy w świat szeroki pogonił, śmierci szukając.

Roman spojrzał pogardliwie na wyblakłego świadka cierpień „towarzysza niedoli“ i odrzucił tonem ostrym:

— Chciał zapewne nowe życie rozpocząć. Kogo stać na to i kto potrafi zerwać stanowczo ze stosunkami, w które wrósł niejako, aby wejść na inne tory, ten też znajdzie dość siły, aby wydrzeć z pamięci wspomnienia przeszłości.

— Dama nowoczesna nie uwierzyłaby też w coś podobnego i nie tkała by kobierca za pokutę — odezwała się Asta z przekąsem. — W wiekach średnich atoli, kobiety mogły jeszcze łudzić się, iż ich miłość jest czemś ważnem, rodzajem świętości dla mężczyzny... Nie pojmuję tylko Detlewie — przeskoczyła na inny temat — jak możesz obracać się tak swobodnie i zachowywać wesołe usposobienie, wśród tej, jak ją nazwałeś, tandety starożytnej? Do każdego z tych przedmiotów przyległa jakaś smutna legenda, czyjaś niedola.

Detlew byłby najchętniej wybił sam siebie, za takie niefortunne wygrzebywanie z popiołów, starych jak świat historyj. Zwykle jednak tak się dzieje w sytuacjach drażliwych i w stosunkach naprężonych, iż każdy temat do rozmowy, słowa najniewinniejsze, zamieniają się w tyleż grotów jadem zatrutych.

Zrozpaczony nie widząc wyjścia przed sobą, pociągnął gwałtownie sznur od zasłony z kosztownego gobelinu, która przedsionek dzieliła na dwie połowy:

— Do tego przynajmniej, co teraz chcę państwu pokazać, nie przylepło żadne nieszczęście. Jest to rzewny i budujący obrazek życia rodzinnego, w wieku piętnastym.

To, co odsłonił, było niewielką komnatą, w kształcie ula; wchodziło się do niej po dwóch schodkach. Ściany pokrywały ciemne tafle drewniane, sufit był ułożony z belek, pięknie wyrobionych przez biegłego snycerza. Tu i owdzie wznosiła się rzeźbą wypukłą tarcza herbowa. Ostatnie blaski purpurowe od zachodu, wpadły przez wązkie szybki w ołów oprawne, które po środku były malowane, oświetlając wysokie krzesło gotyckie pod baldachimem z aksamitu ponsowego ze złotemi frenzlami i kutasami, stojące na podniesieniu, niby tron jaki.

Na chwilę zamilkli wszyscy troje, zapatrzeni i zadumani.

Detlew pierwszy zapytał:

— I cóż państwo powiecie o tym moim niezwykłym nabytku?

— Iż mogę służyć smutną legendą, mogę podać szczegóły najdrobniejsze tragedji rodzinnej, która odegrała się pomiędzy temi czterma ścianami — Roman odpowiedział głosem tak zmienionym, że i brat i siostra zwrócili się ku niemu z przerażeniem.

Stanął tuż przy wejściu, on, który przed chwilą zuchwale zapewniał, iż pogrzebał wszelkie wspomnienia przeszłości, trupio blady, z wzrokiem zamglonym boleścią niewymowną, z głową pokornie na piersi spuszczoną, w postawie skruszonej pielgrzyma pobożnego, gdy ujrzy się u celu, przed progiem świątyni mieszczącej to, co dla niego jest najświętszem.

Detlew osłupiał i głowę stracił do reszty.

— Znasz baronie tę komnatę? — zawołał. — Mnie sprzedał ją handlarz starożytności, który w tym celu włóczy się po kraju.

Gehren skinął głową, a po ustach bolem drgających, przemknął gorzki uśmiech.

— Właściciel obecny korzystał ze sposobności, aby zrobić świetny niewątpliwie interes... Ta komnata pochodzi z wieży narożnej, w zamku rycerskim Gehrenów. Matka moja w niej najchętniej przesiadywała.

Rodzeństwo skamieniało, jakby w nich piorun uderzył.

Roman zwolna wstąpił na schodki. Oczy łzami zaszłe wlepił w tarczę herbową. Były w niej trzy dzidy Gehrenów, orły „Imperium Romanum“ i Gryf z koroną hrabiowską, ta bowiem, która zamek budowała, była ze starożytnego rodu hrabiów rzymskich. Jakby na powitanie skłonił głową nieznacznie przed główneni w oknie malowidłem. Była to patronka ich rodu, św. Weronika, trzymająca w ręku chustkę z twarzą Chrystusową. Dziś jak przed laty patrzyły na niego źrenice Zbawcy tak słodko, tak miłosiernie. Następnie zbliżył się do krzesła i pogłaskał dłonią poręcz misternie rzeźbioną, niby dawno niewidzianego a czule ukochanego przyjaciela.

Detlew nie był w stanie dłużej zapanować nad rozrzewnieniem. Odwrócił się, łzy ukradkiem ocierając.

Roman natomiast zdawał się wciągać wszystkiemi porami woń specjalną, którą te deski nawskróś przesiąkły. Nagle usta mu się rozwiązały, a słowa rwały się potokiem niewstrzymanym. Pozbył się więzów dotąd go krępujących i mówił jak mu serce dyktowało. Nigdy go jeszcze Löwensterny nie widzieli tak szczerym, tak wylanym.

— Ileż godzin tu przesiedziałem z głową na kolanach matki. Gdy księżyc wychylił z po za boru swoją twarz bladą a pyzatą i blaskiem łagodnym napełnił komnatę, matka opowiadała mi z cicha kronikę rodzinną, jak to moi wielcy przodkowie szli do ziemi świętej bić Saracenów, jaką niejeden z nich okrył się sławą i zapisał swe imię w księgach rodowych złotemi głoskami.... Malcem gdym na mym kucu galopował, lub ze strzelbką wracał dumny wraz z ojcem z polowania, z tego tu okna goniła za mną wzrokiem pełnym miłości.... Widziałem ją atoli nieraz i łzami zalaną, wciśniętą w głąb krzesła, z głuchem łkaniem, serce rozdzierającem... Pamiętam i ojca, który zwykle był typem doskonałym wielkiego pana, z głową dumnie podniesioną, z wesołym na ustach uśmiechem, imponujący wobec mężczyzn, pełen rycerskiej galanterji wobec dam..... Widziałem bladego i znękanego w tej oto komnacie, gdzie wiedział, że bije dla niego serce najwierniejsze, że tajemnica w to łono złożona po za próg komnaty nie wyjdzie..... Obijały mi się o uszy wyrazy dla dziecka niezrozumiałe, które jednak łzy matki wyryły głęboko w sercu i pamięci, jak: „Hipoteka nadto obciążona... lichwa... zastawy... sprzedaż przymusowa.....“ Wrażenie bolesne prędko się jednak w umyśle dziecka zacierało, skoro w zamku życie zawrzało, skoro odezwały się trąbki myśliwskie i na obszernym dziedzińcu zaroiło się od strzelców, koni i psów do polowania, a na wieczór zagrzmiała w głównej sali kapela dobrana. Mógłże mój ojciec przypuścić, że źle czyni? Tak jak on, postępowali przecież wszyscy Gehreny, zapisując na kartach dziejów swoje imiona jako ludzie honoru, z chlubą dla kraju, nie tylko dla rodziny. Gdzieżby szlachcic czystej krwi mógł bodaj pomyśleć, aby jakimbądź przemysłem i spekulacją powiększyć dochody! Gospodarował jak niosła tradycja legendowa, jak przystało na rycerza i jak przez wieki wieków miał dla sąsiadów otwarte serce, ramiona i piwnice, gotów przyjąć gości w każdej porze, bo czyż nie tak czynili jego antenaty? Możność oszczędzania się na każdym kroku, umiejętność zastosowywania rozchodu do dochodów i składania pieniędzy, musi także być wyrabianą przez kilka pokoleń, musi przechodzić w spuściźnie z ojca na syna. Matka moja z jasnowidzeniem kobiety kochającej, głębiej zajrzała była w te nieszczęsne stosunki. Łagodnie ale ze stanowczością nieubłaganą zmuszała nas dzieci do pilnej nauki, do pracy na serjo. Dziś widzę jasno, dla czego nieraz ona, tak słodka, tak mężowi ślepo uległa, staczała z nim żywe utarczki, niemal do scen między nimi dwojgiem przychodziło, gdy w żaden sposób nie dała się namówić do jakiejś wycieczki w sąsiedztwo, gdy odrzucała prawie z gniewem, o ile tę duszę anielską stać było na gniew, każdą podobną propozycję i chęć sprawienia jej nowej, wspaniałej toalety. Ojciec mój radby się był pochwalić zawsze piękną i uroczą małżonką, a matka moja o tem ani słyszeć nie chciała. U siebie była wiecznie w tej samej sukni czarnej aksamitnej. Pieniądze dawane jej przez męża na szpilki, a prawdopodobnie i te, które ściągała pokryjomu ze sprzedaży wyniesionych z domu rodzicielskiego sreber i klejnotów, obracała głównie na naszą edukację jak najstaranniejszą. Mogę śmiało powiedzieć, że my dzieci, uczciwie i z całych sił staraliśmy się matce w tem dopomagać i pracowaliśmy bez wytchnienia. A jednak pamiętam jak dziś, że smutno przeszedł dzień mojej pierwszej komunji. Matka łkając boleśnie, przycisnęła mnie do piersi, wetknęła mi w rękę piękną książkę do nabożeństwa, przez nią w całości przepisaną. Dłonie złożyła mi na głowie z błogosławieństwem, usta szeptały gorącą modlitwę... wreszcie tyle tylko była w stanie głośniej przemówić:

— Moje biedne dziecię! Mój synu najukochańszy!...— I to o wiele już późniejsze i silniejsze od poprzedniego wrażenie zostało w pamięci. Przeżyłem jeszcze swobodnie i wesoło cały przeciąg czasu na uniwersytecie, nareszcie wstąpiłem do gwardji jako wolontarjusz... I roku nie wysłużyłem, gdy mnie nagle do domu zawezwano... W tym tu oknie matka stała, gdym ze stacji nadjeżdżał. Pędem wbiegłem na górę, widząc że mnie ręką przyzywa do siebie. Temi słowami mnie powitała blada śmiertelnie, ale poddając się bez skargi wyrokom Opatrzności:

— Synu drogi! Nic już nie posiadasz prócz siebie samego. Nie zatrać że się, nie wejdź, jak tylu innych, na manowce!...— Nie chciała, żeby mi to kto inny zwiastował, wypiła do dna kielich goryczy, byle nie było między nami świadków niepowołanych, byle nikt obcy nie patrzył na jej syna w chwili niemęzkiej słabości, w chwili gdy czoło jego poblednie, usta zaś poczną złorzeczyć losowi małodusznie...

— Nie słuchałem jej upomnienia, nie poszedłem drogą, wytkniętą mi przez matkę — zaczął po chwili milczenia głosem stłumionym, z głową jeszcze niżej spuszczoną.

Detlew złożył ręce błagalnie:

— Czcigodny mój przyjacielu!... Szczytnem jest i wzniosłem takie samopoznanie i szczere wyznanie męzkiego, silnego jak twój ducha... Zaklinam cię jednak na wszystko, oszczędzaj siebie!

Gehren potrząsł głową:

— Gdybyście państwo wiedzieli, jak mi lekko, jak miło tu właśnie z grzechów się wyspowiadać!

(C. d. n.)

„Drukarnia „Polska“ Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.